

losowi. Skutkiem tego było dążenie do porozumienia z młodzieżą, która musiała przerwać naukę w mieście, by na wsi stworzyć małe ośrodki i grupy uczących się. Ośrodki te, niby wulkaniki czystego źródła, pochane siłą potężnych duchów, poczęły rozlewać się nawet po stronach pagórkach ujanowickich wiosek i jak wiosenna powódź, ogarniać wszystko, co po drodze napotkały, a przede wszystkim górskie tereny mniej strzeżone przez okupanta. A owa siła to gotowość do służenia innym pomocą, poświęcenie, nieznordowana praca dla przyszłej Ojczyzny, która dopiero kiedyś zmartwychwstanie. Tak też i nasza Żmijca, a nawet stara „karczma” może przysporzyć mądrych obywateli - świadomych swych zadań Polaków. My też nimi chcieliśmy zostać. Przerobiwszy w kilku miesiącach V i VI klasy szkoły powszechnej, po zdaniu egzaminu, zaczęliśmy uczęszczać na Dąbki. Szczególna była to droga. Idziemy polnymi drogami, bo przez wieś jeżdżą samochody, chodzą żandarni z potężnymi pistekami, a nad głowami warkotem swym huczą samoloty. Na odgłos strzelaniny - my pędem w las, bez słowa zeszły pod przykopy i kupkę kamieni, potem każdy w inną stronę, by ukryć się gdzie się da. Za chwilę podniósł się przeraźliwy wrzask: to kolega skacząc z przykopy w zarośla wpadł na drzewnicę babinę, która po nazbieraniu grzybów, na odgłos strzałów, tu się schroniła, by jej „pieskie Miemce” grzybów nie zabrali. Drugi kolega słysząc krzyki, wdrapał się na drzewo i ukrył w jego konarach, lecz zwabiony hałasem ludzkim pies z Chelmu wytopił biegnącego i zawarował pod drzewem, nie dając się niczym skusić, by odstąpić i umożliwić ładowanie na ziemi naszego drzewołazka. Na szczęście nadeszła owa babka z grzybami i psa do domu odwołała. Wreszcie zeszliśmy się na ścieżce; jeden bez czapki, drugi z rozdartym na drzewie rękawem, trzeci bez zesztyłów, ale czas był najwyższy, by zdążyć na Dąbki, bo po polskim z „P. Jasią”, mieliśmy iść na Liptakówkę do P. prof. Zelka, a „matna” zawsze przejmowała wszystkich najwyższą trwogą. Toteż po drodze wkuwaliśmy regułki - wiersze: „Żle w mgle i snach bolejącym ku wiedzy progę iść...”, przeliczając na palcach ilość głosek „Pi” = 3, 14147... Nareszcie wchodzimy do ciemnej sieni na pół rozwalonej chałupy; otwieramy boczne drzwi i wśród dymu rozpoznajemy powoli starą Babusię dojącą kozę. Pytamy: Gdzie Pani? Babcia spod kozy odwraca głowę, wskazując na obite papierem drzwi. Wchodzimy po kolei do niskiego pomieszczenia, obitego takim samym papierem jak drzwi z malutkim okienkiem. Nasza pani wita nas z uśmiechem, zgadzając: „Pewno mieliście po drodze jakieś przygody, bo was długo nie było” i nie czekając zanim ktoś z nas wykrzusi jakieś słowo usprawiedliwienia, dodaje: „Chodźmy pod stodołę, bo szkoda ciepłego dnia”. Tymczasem dziewczyny ustawiły już na palikach drewniane wrota, kilka brzoźowych klocek zamiast krzeseł, a komu brakło miejsca, to przykucnął na wysuszonej trawie, która służyła również za posłanie, gdy trzeba było zanoć. Wyciągamy pomiętoszone szpagary, niby zesztyły i piszcimy to, czego trzeba się nauczyć na pannie, bo zesztyły mogą zginać. Jutro pojedziemy jeszcze dalej, na

laworną, bo geografi uczy nas P. Dunarowski, a dziś, wracając z Dąbek, do Żmijcej na francuski. Po lekcji, babcia pasęca kozę, zaprasza nas na wieś. Łykamy kwaśne owocki razem z pestkami i słówkami francuskimi z zawieszoną na konarze kartki, potem biegami w dół. Kto pierwszy „jędzie” do karczmy, ten nie będzie „pytany” - obiecuje nasz kolega zalać protekcję u siostry. Celiny P. od francuskiego. Zimą zamiast na Dąbki, chodziliśmy do Strzeszyc, ale tu lekcje odbywały się za każdym razem Pagórku, na Mocarzy, na Krystianówce, u Starogo Soltysa lub u Walentowej albo u Dutka. Pewnego razu w czasie lekcji nagle usłyszeliśmy strzały. Pewno Niemcy już na moście! „Chłopcy! Książki, papierce do schowka i pedem w nogi!” - „Co tam my, ale Pani” mówi Kuba. - Nie bój się nic, szukaj Manny spódnicy, chuski, zaraz będę przędła wełnę...”. Na szczęście była wtedy gęsta mgła. My w pole za stodołą i w olśnzone albo na Pagórek, bo przez wieś mogło być już niebezpiecznie. Bez książek, z pustymi kieszeniami, no i z pustym żołądkiem wracał każdy z osobna do domu, ale i z cichą nadzieją, że kiedyś się to skończy, a my nie zmarnujemy czasu i naszych młodych lat. Innym razem wracamy z Jaworznej. Rozpętał się burzany wiatr, walcąc nas śniegiem i lodowatym deszczem tak, że przewracaliśmy się w zaspę jak kukielki. Odeszła nas ochota od zabawy i żartów. Zmorniśmy, zmarniśmy jak sople, chowaliśmy w kieszenie „zgrabiałe” ręce bez rękawiczek, bo ich nikt nie miał. Nikt też nie zauważył „gdzie i kiedy spod kurtki kolegi wysłiznęły się książki i zesztyły. Już nieśliśmy wyjść z krzaków na Mocarz, a tu przed nami - szamoczące się wielkie czarne pisko i żandarni. Stanęliśmy pod jodłą drząc z zimna, z przerażenia oraz nagłego przypływu gorąca. Żandarni spenetrowali nas bystrym okiem, a że nasze ręce, wyjęte błyskawicznie z kieszeni, były puste i mokre kurtki przyklejone do kościstego grzbietu mówiły same za siebie, żandarni odeszli. My usiedliśmy pod jodłą płacząc z zimna, strachu i radości, że uratowały nas może zagubione książki, które i tak odgrzebałbyśmy z zasy, by uczyć się do egzaminu. Wreszcie popędziliśmy z wiatrem do domu. Na drugi dzień rano poszliśmy na egzamin do Strzeszyc. Zasłaliśmy do ochronki i skupiwszy się koło pieca - drżymy ze strachu. Do sali weszło siedem poważnych „person” i zasiadło za stołami. Wkrótce przy każdym stole zaczął tworzyć się ogonek zdających i tak z małymi przerwami cały dzień. Wcześniej byliśmy gotowi, to znaczy skończyliśmy pierwszą klasę gimnazjalną bez dwójki, po półrocznej pracy. Wracając do domu z radością powtarzaliśmy sobie pytania i odpowiedzi, by stwierdzić czy warto było tyle się uczyć „wkuwać” i tyle „łazić” po wetepach? Jeden mówi: „Dla idei - nie szkoda”; drugi odpowiada wykrutką łaciną: „Pro publico bono - nie szkoda”; trzeci stwierdza: „Mama i tata się ucieszą - nie szkoda!”. A ja pomyślałem sobie, że wszystkie te lekcje i wdółki tyle nas rozumu nauczyły, że nam niczego nie szkoda, bo zapamiętamy je na całe życie. Żmijca i Strzeszyc sławne będą w wyzwołonej Ojczyźnie”. T. P. Żmijca.